

Renata Przymyk

Artystka niezwykle ceniona ze względu na nieprzeciętny talent muzyczny, niepowtarzalny głos i indywidualność artystyczną. Większość jej płyt uzyskała status złotych. Z wykształcenia jest bohemistką. Urodziła się w Bielsku-Białej, studiowała w Katowicach. Na scenie oficjalnie od 1989 r., kiedy to zdobyła Grand Prix Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie. Pierwszą swoją płytę wydała w 1990 r., wraz z zespołem Ya Hozna. W 1991 r. rozpoczęła solową karierę. Lubi Virginie Woolf Marqueza i Yourcenar, ale też Bjork i Richarda Galliano. Fascynatka teatru, kompozytorka, czasem aktorka. Marzy o podróży dookoła świata.

tekst: Renata Przymyk foto: Elżbieta Schonfeld



O chorowaniu

W chorobie, jak w żadnym innym stanie, dusza jest ograniczana przez ciało, zmuszana różnymi wymyślnymi cierpieniami do myślenia o ciele, o poszczególnych jego częściach, funkcjach i dysfunkcjach. Ból, jak tablica informacyjna, pulsującym neonem krzyczy: jestem tobą póki żyjesz! Ciało implikuje tory rozmyślań, każe się skupić na tym, co może go ubłagać, złagodzić wyrok. Żądza odpowiedniej tabletki jest wręcz chorobliwa, a pragnienie zapomnienia o ciele nie dające się ugasić herbatą z malinami czy melisą. Marzymy o długim śnie, z którego obudzi nas jakiś król medycyny pocałunkiem zdrowia, dotknie ręką, która leczy.

W żadnym innym stanie ciało nie jest tak istotne, nie walczy o uwagę i należne mu miejsce w hierarchii ważnych rzeczy w życiu. W tym życiu. Myślimy o nim z czułością na zmianę z rozżaleniem, że zawodzi i złością, że nie mamy lepszego, sprawniejszego. Aż w końcu ze współczuciem, zrozumieniem i przeprosinami, że nie dbaliśmy o nie jak należy i jest naszą ofiarą. Ofiarą naszego braku szacunku, nabożeństwa i opieki. To moment dotkliwego memento - masz tylko mnie! A dusza z marnym naczyniem nie błyszczy tak i nie jaśnieje jak powinna, bo naczynie ten blask tłumi i matuje i odwraca uwagę od kwestii transcendentnych.

Kiedy czujemy się trochę lepiej, wkrada się mistycyzm i eschatologia. Razem z wyostrzoną percepcją świata doczesnego i jego ziemskich przejawów, jak wąż z drzewa Adamowego, wychyla łeb wątpliwość co do sensu. Zaczyna do nas docierać przerażająca świadomość, czy zanim dostąpimy zbawienia i nadamy sens śmierci Jezusowej, to nie przyjdzie nam zawołać w malignie „czemuś mnie

opuścił”! W wymuszonej pokorze obiecujemy poprawę, dbałość o dar boży w postaci tego ciała nam dany i godną oprawę naszej duszy stanowić mający.

Świat się zatrzymuje w swojej ważności i wszelkie sprawy domagające się od nas pilnego załatwienia mieszają się z zapachem potu i smakiem syropu. Oczy uwięzione pod wiekiem powiek ciężko opadają na miejsce wyznaczone na sen. Póki co nie wieczny. Z horyzontalnego ciała jakby prawem grawitacji spływają siły natury jeszcze niedawno wprawiające w ruch tę wspaniałą maszynę. Mentalne odleżyny nie pozwalają skupić uwagi na czymkolwiek poza tęsknotą za zdrowiem. Tylko teraz mapa naszego ciała jest tak czytelna i możemy z zamkniętymi oczami trafić w każdy jego najczulszy punkt. Czasem udaje nam się odpląć z poczuciem ciepłego przyzwolenia na zatrzymanie się świata. A stan podobny do poetyckiego imperatywu, potocznie nazywany bredzeniem, płynnie przechodzi w sen.

Rano budzimy się odkrywając ciało na nowo, badając w myślach wszystkie jego zakątki, analizując funkcję poszczególnych jego części i z radością odkrywając poprawę. Teraz przepelnia nas już tylko pragnienie powrotu do stanu sprzed choroby i szybkie zapomnienie o niej samej i towarzyszących mu przemyśleniach.

P.S. 1

Nie dotyczy chorób przewlekłych i miłości.

P.S. 2

Zainspirował mnie esej Virginii Woolf „O chorowaniu”, o którym przypominałam sobie, kiedy dopadła mnie grypa. Poza tytułem jest on o czymś kompletnie różnym.